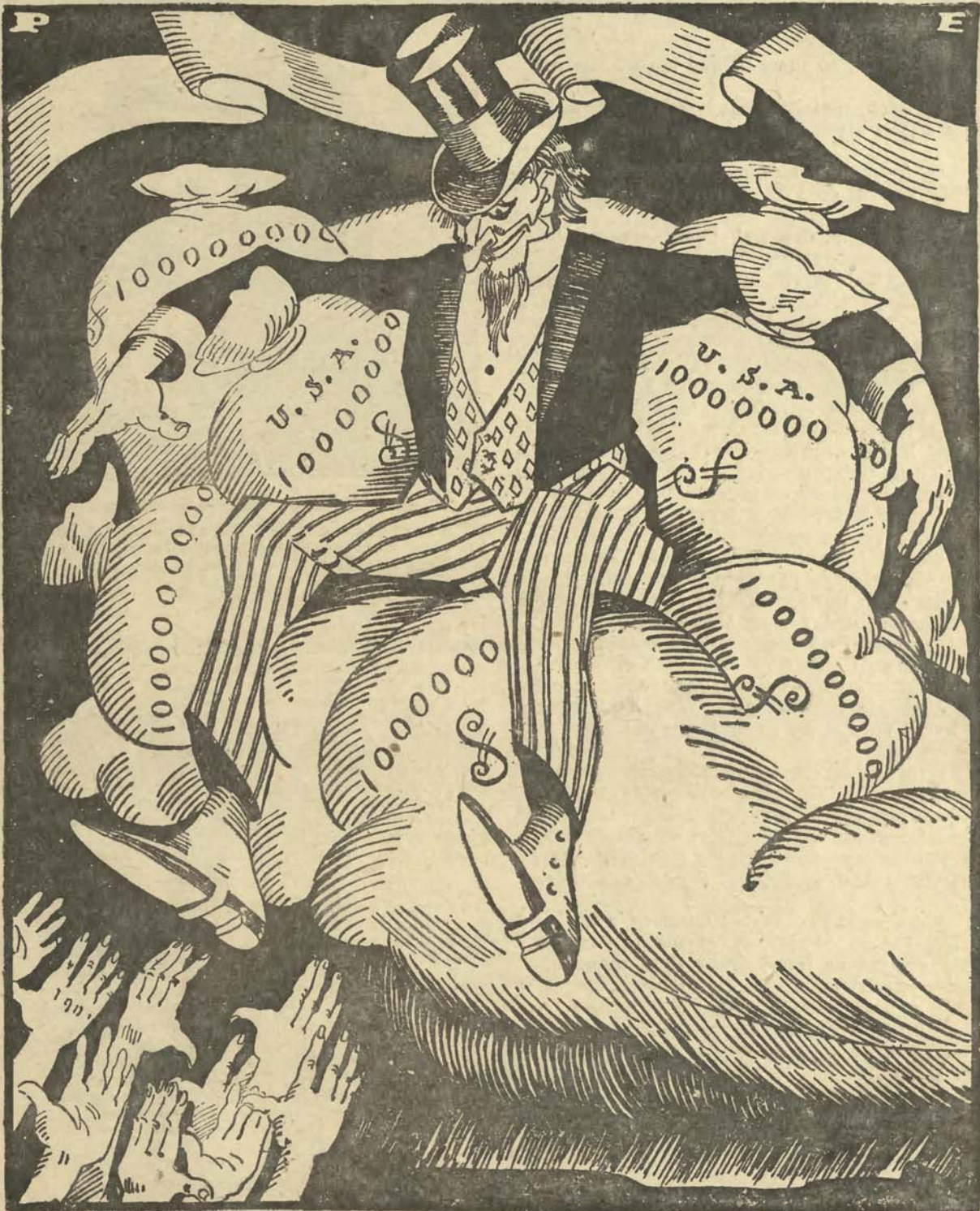


REDAKCJA
Kopernika 34
i Wspólna 45.
ADMINISTRACJA
Biuro Ungra
Senatorska 12.

MUCHA

PRENUMERATA
w Warszawie
i na prowincji
kwartalnie
marek 3000.
Konto czekowe
P. K. O. № 4680



Król złota.

Amerikanin do Europy — Nie wyciągajcie chciwych łap! Mówiłem wam, że postanowiłem nie mieszać się już nigdy do spraw europejskich. Mam „tego” dosyć!

BW

W Sejmie.

Tymczasem coraz więcej posłów przybywało,
Endecy prawie wszyscy, socjałów niemało,
Piastowcy, Wyzwolenie, mniejszość narodowa,
W której się niemiec z żydem i z rusinem chowa,
Cały klub okoniowców (sztuki ledwie cztery),
Chadecy, Komunista, Dzicy, Enpeery.

Wszyscy weszli buńczucznie, zapełniają ławy,
Aby omówić Państwa najpilniejsze sprawy:
O drożyznie, o braku w Skarbie Polski groszy,
O pasku, co bezkarnie ciągle się panoszy.
O podatkach, co niechcą dać ich Państwu

kmiecie,
O klótniach, o niezgodzie, która Polskę gniecie,
O prądach złych, co kraj nasz rozedrą na

szmaty,
O braku szkół, o niskim poziomie oświaty,
O chorobach, co Polskę trapią w strasznej

grozie,
O braku węgla, drzewa! O tajnym wywozie
Artykułów spożywczych: jaj, mięsa i zboża,
O tem, jak gubi markę nasz giełdziarz-wielmoża,
O sąsiadach-łajdakach, których myśli lubę
Są, ażeby zgotować Polsce prędką zgubę,
O przeróżnych zza morza przybyłych tu sektach,
O kwakrach, metodystach i innych insektach,
Które, dolarowego pełne będąc sprzętu,
Chcą u nas katolicyzm wygubić do szczętu.

O wielu jeszcze smutkach w ojczyźnianej kniei!
Więc Endek, jako prędko, rozpoczął z kolei
Rzecz swoją wyprowadzać. Lecz mówił niedużo,
Bowiem się z lewicową wnet napotkał burza.
Wybiega thugutowiec z maczugą do ciosu
I woła: „Precz z endekiem, on tu niema głosu!
Precz z nim! Nam obszarników rady niepotrzeba,
W Polsce niechaj porośnie inna całkiem gleba.
Po pierwsze: noc świętego ma być Bartłomieja,
Po drugie: niech z szubienic powstanie aleja,
Po trzecie: do wysokich sięgnąwszy okopów,
Powiesimy dziedziców i bogatych chłopów“.
„A juści“ tak Piastowiec ryknął rozwścieczony,
Zespół posłów na wszystkie rozpychając strony,
„Spróbuj ruszyć, ty drabie, nas chłopów

bogatych
A sam na szubienicach dyndać będziesz, na tych!
Póki Piast rządzi krajem, sen się wasz nie ziści“!
„Co?“, wrzasnęli w tem miejscu chórem socjaliści,
„Nie chcecie dzielić ziemi? O wy, dusze wraże,
Wy krwiopijcy wioskowi, wy główni paskarze,
Co jedno tylko wiecie, jak się zdziera skóra,
Wy..“

Słów resztę zgłuszyła straszna awantura!
Kotłuje się, przewala! Słychać słowa srogie,
Jeden chwytą za bary, drugi rwie za nogę,
Tamten wydziera włosy, ten obrywa odzież,
Starsi, podtatusiali, niewiasty i młodzieź,
Wszystko bije się, kłębi, wymyśla i sroży,
A kiedy coraz większy harmider się tworzy,
Nikt nie widzi, że stają za sejmową salą,
Ci dwaj, co połączyli dusze swe w Rapallo,
Moskal z Niemcem, a z nimi Litwin w jednym

gronie,
Że trójca ta się śmieje i zaciera dłonie
I mówi, gdy się hałas jeszcze większy wszczyna:
„Ot Sejm! W sam raz dla Niemca, Moskala,

Litwina.
Niech się kłóć Polacy, jak piekielne biesy,
W ten sposób obrabiają nasze interesy“.

W. Buchner.



W dniu 19 lutego 1923 r. w Warszawie.

Rozgłośny uczyony polski. — Za 450 lat i mniej
być może, czić będą, jak dziś Kopernika, ale co od dwóch
dni obładu nie jadłem to nie jadłem, bo nie miałem za co.

Z Sejmu.

Mowa posła Korfantego w czasie rozpraw nad
oświadczeniem premjera Sikorskiego obfitowała w mo-
menty tak rozbrajająco szczere i otwarte, że nie spo-
sób oprzeć się chęćce przytoczenia tu bodaj jednego
ustępu z tego przemówienia.

„... Zdawałoby się, że w takiej sytuacji (jak obecna
w Polsce — p. red.) bez względu na różnice partyjne,
wszyscy podaliby sobie ręce, wszyscy ludzie do-
brej woli, żeby Państwo ratować od niebezpieczeń-
stwa i zguby. Niestety, u nas inaczej“.

Istotnie, panie posle, u was w waszym obo-
zie zupełnie inaczej! A na tę dobrą wolę czeka
Polska napróžno od lat czterech!..

Rada dla polaka.

Czem ci większe

Los drze wióry,

Tem nos wyżej

Noś do góry.

Gdy Ksantypę

Masz za żonę,

Gwizdaj sobie

„Gasparone“.

Gdyś bez butów

Jest o wiosnie,

Niczem kociak

Skacz radośnie.

Chociaż mięso

Trzy tysiące,

Badź, jak kózka,

Ta na łące.

Niech czas w zdrowiu

Czyni psoty,

Ty snuj sobie

Anegdoty.

Lecz gdy partje

Polskie nasze

Będą tłuc się

Jak apasze,

Dziennikarska

Gdy hołota

Wciąż lać będzie

Kubły błota,

Gdy Sejm swój znow

Zacznie taniec:

„Łajdak!“ „Galgan!“

„Oberwaniec!“

Wtedy zawyji,

Jak pies Burek,

Kup konopny

Potem sznurek

I dowlókszy

Się zaledwie

Zawiśnij na

Jakiem drzewie,

Opatrzony

Z przodu kartą:

WŚRÓD TYCH SWARÓW
ŻYĆ NIE WARTO.

Świnia.

Miano uragliwe, oznaczające pewien gatunek zwierzęcia, bardzo nieestetycznego, co do formy życia, wyglądu, zapachu i t. d.

„Czemu to świnia ma zawsze łeb spuszczonej na dół?” zapytał profesor ucznia.

„Bo się wstydy, panie psorze”, odparł tamten.

„Wstydy się? A to czego?”

„Tęgo, panie psorze, że ojciec jej świnia, matka świnia, wujek świnia, ciocia świnia, dzieci świnie, dziadek świnia, wszystko świnie.”

Jest w tem dużo racji.

A jednak?

Pędzi samochód. W nim rozwalony jegomość opasły, czerwony, wargi grube, w których cygaro za 6000 marek. Na nim bobry za 12.000.000, czapka futrzana za 1½ miliona, rękawiczki z Gdańska za 48.000, lakierki na nogach za 128.000. To główny handlarz na całe miasto ryżem, kaszą i towarami kolonialnymi—znana świnia.

Idźcie do najpierwszorządniejszej restauracji warszawskiej. Tłok, ścisk, wrzawa. Jazz-band gra, aż dusza pęka w człowieku. Przy głównym stole, pięknie udekorowanym, siedzą mąż i żona. On ex-furman, obecnie oszust i dostawca butów dla armji, ona, cóż ona? Jego żona. Jedzą wszystkim, tylko nie nożem i widelcem. Jedzą ustami, językiem, kłami, palcami, okiem, tchem i odgłosem. Naturalnie świnie.

Wejźmy do tramwaju. Siedzi tam jegomość dostatnio ubrany, twarz nienajgorsza. Nagle otwiera usta i całą zawartość zebranej tam w ciągu pół godziny śliny wypluwa z łoskotem na podłogę. Rzecz prosta, że to świnia.

Starszy pan, siwy, elegancki, zaczepia jakąś 11-letnią dziewczynkę. — Panienska dokąd? — Do domu na ulicę Rozbrat. — A możebyś, moje dziecko, poszła do mnie na Piękną? — Co też pan mówi? Proszę odejść odemnie, ja się pana boję. — A ileż, moje dziecko, masz lat? — Jedenaście. Ale niech pan sobie zaraz idzie. Starszy pan odchodzi, mrużąc z cicha: — Jedenaście lat. Lubię. Szkoda. Wszak przyznacie, że to świnia.

Więc w istocie nie mamy racji, wygadując tak na zwierzęta czworonożne, które zwą się świńmi i gardząc niemi, gdyż wśród nas nie brak też tego samego gatunku.

Racja.

— Czego ty się martwisz?

— Martwię się, że marka spada na dół, a dolar leci do góry

— Uj! jakiś ty głupi! Ty się cieszyć, bo jak co spada na dół, to zawsze można się po to schylić, ale jak co do góry leci, to całkiem polecieć i trudno wtedy złapać.

Wesołość Galwanauskasa.

— Jeden z moich znajomych przyjechał z Kowna i opowiada że naczelnik rządu Litwy całymi dniami nic nie robi, tylko wciąż się śmieje.

— Z czego się tak śmieje?

— Rzecz prosta, śmieje się z Ligi Narodów.

Nowa bajeczka według bardzo starego ale mądrego wzoru.

Dawniej stare babunie o szarej godzinie mówiły swoim wnusiom taką bajeczkę:

— Morze, morze, daj wody! — Komu wody? — Kogucikowi wody, bo kogucik leży koło drogi, ani tchnie! — Nie dam ci, idź do pańien po wieniec. — Panny, panny, dajcie wieniec! — Komu wieniec i t. d.

Obecnie nie-babunie i nie-wnusiom mówią w biały dzień tę samą bajeczkę, tylko nieco inaczej:

— Rządzie, rządzie, podwyż pensję! — Komu pensję? — Urzędnikowi pensję, bo urzędnik leży koło drogi, ani tchnie! — Nie podwyższę, aż zwiększą się podatki od dochodu. — Dochodzie, dochodzie daj większe podatki! — Komu podatki? — Rządowi podatki, żeby rząd podwyższył pensję. — Komu pensję? — Urzędnikowi pensję, bo urzędnik leży koło drogi, ani tchnie! — Nie zwiększę, aż mi i t. d.

Różnica między temi bajeczkami jest zasadniczo taka, że gdy w pierwszej bajeczce, po bardzo długiej zwłoce, morze daje wreszcie wody — a kogutek ożywa i pieje: „Kukuryku!” to w drugiej bajeczce (która jak dotąd nie ma jeszcze końca) niewiadomo czy urzędnik zacznie dychać. A choćby i zaczął, to bardzo wątpliwe, czy mu tego dechu starczy na wesołe i raosne: Kukuryku!!!

Na zabawie.

— Z pana Jantoniego to tyż ananasz. Niby to człowiek bezpartyjny, a jak mnie wczora lunął w szymie w kark, to mi nowa bluzka na froncie na nic pękła.



W dniu 19 lutego 1923 r. przed sądem pruskim.

Prokurator. — Powiedz, żeś jest Niemcem, albo do więzienia.

Kopernik. — Mnie się zdaie, że niezadługo najrodowitszy germanin będzie się wstydył przyznawać do waszej Jozyzny, więc czego wy chcecie odemnie polaka z krwi i z kości?



Radby nam nasze zabrać i nasze nam oddać.

Niemiec. — Słuchaj, Polsko, oddaj mi z powrotem twoją połowę Śląska, a ja ci pojaruję na zupełną własność Kopernika i zrzeknę się wszelkich do niego pretensji.



Za kulisami teatru wielkiego w dniu 19 lutego 1923.

— A dzieł co za uroczystość?
 — Czteryście pięćdziesięciolecie rocznica narodzin wielkiego astronoma polskiego, Kopernika.
 — Cóż to ma wspólnego z baletem?
 — Magistrat m. Warszawy, jako właściciel teatrów polecił nam odczłó Kopernika odtančním, „Pana Twardowskiego“. Cała Raca Miejska ma być obecna na tej uroczystości.

Jak trzeba tańczyć Shimmy?

Stenogram z wkładu, wygłoszony przez profesora tańców afrykańskich p. Pirueta Podskoczyńskiego.

Mesdames! et Messieurs! Modny obecnie taniec shimmy pochodzi z krajów, gdzie ludzie, orangutangi i palmy daktylowe rosną zupełnie nago. Nazwa *shymy*... ma źródłosłów w wyrazie *shym... pans*, który, jak wiadomo, ma zwyczaj naśladować ruchy ludzkie. Z tego powodu, ludzie pragnąc mu się czemkolwiek odwzajemnić, naśladowują ruchy szympansa.

To jest dopiero teoria pochodzenia, a teraz przejdźmy do praktyki.

Człowiek bez względu na swoją płć, jest stworze niem o wiele doskonalszym, niż licharz, który zwykle ma tylko jedną nogę. gdy mężczyzna, lub kobieta są obdarzeni przez naturę aż dwoma nogami. W tańcu shimmy, jeżeli parę tańczącą przyjmiemy jako jednostkę, ujrzymy, iż posiada ona ogółem cztery nogi, iak np. u stołka, wielbłąda i innych stworzeń tym podobnych.

Pan Twardowski. (Urywek).

...Twardowski na koncept wpada i zadaje trudność nową.

„Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
 „Tam warunki takie stoją:
 „Po latach tyłu a tyłu,
 „Gdy przyjdiesz brać duszę moją,
 „Będę miał prawo trzy razy
 „Zaprzędz ciebie do roboty,
 „A ty najtwardsze rozkazy
 „Musisz spełnić co do joty.
 „Patrz! Oto jest polska marka,
 „Co spada teraz okrutnie —
 „Chcę, niechaj na wzór kanarka,
 „W górę frunie rezolutnie,
 „Niech przegoni funta, franka,
 „Dolara i inne leje!“

Lecz z rozkazu swego panka
 Djabeł się jeno zaśmieje.
 Dmuchał mocno w Giełdę Czarną,
 Nałożył grube podatki,
 Zabronił wywozić ziarno,
 Za lichwę ukarał jatki
 I oto już marka w górze
 Świeci, niby dolar jaki.
 Wielbią ją w zgodliwym chórze
 Jankiesy, Włochy, Prusaki.

„Ha, wygrałeś, panie biesie,
 „Ale próba nieskończona:
 „Niech z wszystkich partji obwiesie,
 „Przycisną siebie do łona,
 „Niechaj miłość zapanuje
 „W Sejmie, Senacie, na wiecach,
 „Niech partja—partji nie szczuje
 „W awanturach, bójkach, hecach!“

Djabeł już leci bez słowa.
 Zamknął partyjne dzienniki,
 Prowodyrów w mieszek chowa
 I odwołuje djabliki,
 Które zwą się „warcholkami“
 A mają takie zadania,
 By bruździć między partjami
 Urządzać bójki i lania.

„To ostatnia próba twoja,
 „Bierz-że się czarcie do dzieła:
 „Oto jest gosposia moja,
 „Co mi pokój odnajęła.
 „Ja na rok u Belzebuba
 „Przyjmę za ciebie mieszkanie,
 „Przez ten rok gosposia luba
 „Ciebie w swe szpony dostanie.
 „Zapłacisz odstępnę spore
 „A na dzień po kilka razy
 „Całując w rączkę tę zmoreę
 „Spełnisz jej dzikie rozkazy,
 „Przysiąż jej miłość, szacunek
 „I posłuszność bez granic —
 „Złamiesz choć jeden warunek,
 „Już cała umowa na nic“.

Djabeł się zwrócił w pół-ucha,
 Pół-okiem na jejmość łypie,
 Niby patrzy, niby słucha,
 Ale już ku wyjściu sypie.
 Sam już jej widok—dokuca,
 Sama jej buzia—odpycha,
 Więc czmychnął dziurką od klucza
 I dotąd—czmycha!

Cały wdzięk shimmy polega na umiejętnem ukrywaniu nóg osób tańczących w taki sposób, ażeby żadna z osób obserwujących nigdy nie mogła zauważyć gdzie w danej chwili znajduje się jedna z nóg tancerza i tancerki, t. j. w jakim miejscu została umieszczona.

Shimmy od tańca apaszów tem się właściwie odróżnia, iż obiedwie strony tańczące, starają się wygiąć przeciwnikowi kręgosłup i doprowadzić go do nieuleczalnego kaleczenia. Podobne nęcanie się nad bliźnim, w innych wypadkach karane najsurowiej przez sądy kryminalne, w shimmy nie tylko bywają w salonie tolerowane, lecz przeciwnie, nawet mile widziane.

Bardzo ważna uwaga: Shimmy nigdy nie będzie wykonaniem klasycznym, jeżeli tancerze nie wykonywają stopami ruchów naśladowujących ciężki paraliż lub chorobę św. Wita. Podobna maniera daje dopiero szyk i blask tancerzom i tancerkom i tembardziej zbliża ich do przepięknej, romantycznej i zawsze słonecznej, afrykańskiej przyrody.

Piosenki karnawałowe.

Ojra, ojra ciężka zima,
Człek na nowe buty niema,
Więc mu żonka kawał robi:
Na bal bosó się sposobi.

Mróz, mróz, mróz za kominem!
Płacze ojciec ze swym synem.
Płaczcie sobie, gdyście kiepy,
Mama z córką rżną „tustepy“.

Wlaził kotek
Na płotek,
miauczy:
— Ach! któż mnie
Paskować
nauczysz?
W spiżarni
Jest masła
pięć fasek,
Jakby je
Tu puścić
na pasek?
Gdy kot tak
Narzeka,
dziw w tłumie,
Że jest, kto
Paskować
nie umie?...

Similia similibus curantur.

Jak to czasem podobne leczy się podobnem. Litwini
rozpędzili się aż do Kłajpedy i zato ich pewnie lada chwila
stamtąd rozpędzą.

Niech wstaną zastępy oraczy!...

(O naprawę Rzeczypospolitej).

Kres już nareszcie wybił bezrządowi,
Tymczasowości i przejściowej dobie;
Inna się ścieżka znaczą dziś krajowi,
Co po omacku dotąd kroczył sobie.
Na poczynania niepewne, lękliwie
Dzisiaj nas stać już zgola być nie może,
Bo one kłeskę niosą polskiej niwie
Tak, jak i pałki—bratobójcze noże.

Choć się nam raczej bezczynność uśmiecha
Gnuśna, ospała, co jutro ma za nic;
Choć gestów szumnych i frazesów wiecha
Hetmani ciągle pośród polskich granic,
Jeśli tli w sercach płomyk dla Ojczyzny
I chęć, by ustrzec ją od zgubnej matni,
Dzisiaj, gdy po ranach ostały li blizny—
Z bezwładem owym czas zerwać ostatni!

Bo spójrzmy tylko, co widać dokoła,
Bliżej, czy dalej, w stronie tej czy owej?
Troską i myślą pobrużdżone czoła
Od wyteżenia pochylone głowy!
Wszędzie wre, kipił Bo to wyścig pracy.
Co da przyszłości pożądane ramy!
My tylko dzisiaj jak ongi jednacy—
Na wszystko czasu poddostatkim mamy!...

Jak długo trwały miesiące przejściowe,
Kiedy się wszystko z niczego stwarzało,
Wolno nam było mieć chwile jałowe,
W których Ojczyzny nie tężalo ciało.
Ale nie dzisiaj! Lecz nie w porze takiej,
Gdy myśl rozważną z wysiłkiem skuć trzeba,
By już nie pętać, jak bezduszne raki,
Co wszystko zdają na łaskawe nieba!

Padły już słowa o potędze gromu:
Oto—naprawa Rzeczypospolitej!
Czy się działania jąc nie będzie komu
I nie wyjdziemy z marazmu orbity?
Kto nazwie zew ów czczym jeno wymysłem,
Krakaniem zgola nie na czasie ninie—
A nie zaś hasłem z rozważni wytrysłem,
Groźnem memento tych, co śnią o Czynie?!

O Czyn ten wołam! Czyn trzeźwy a śmiały,
Pelen zaparcia i sumiennej woli—
Dla utrwalenia narodowej chwały,
Oraz nas wszystkich pożytkowi gwoli.
Niech zmilkną wszelkie małostkowe cele
I niech zastępy powstaną oraczy:
Naprawy droga się nam oto ściele
A biała jeśli ją kto z nas wypaczył!



Kopernik i Wilhelm II.

Wiluś. — Myśmy równi! Tyś ujął świat w dłonie i ja go też ująłem,
przed trzydziestu laty.
Kopernik. — Tylko, że ja świat ująłem w ręce, jako uczony i do dzieła
go trzymam, a tyś go chwycił, jako pajac i dla tego ci z rąk wyleciał razem z koroną.

Tak źle i tak niedobrze.

Skarzył się właściciel składu węglowego:
— Mrozu ani za grosz, zima do niczego!
Muszę drzeć za węgiel, wierzcie, panie moje,
Inaczejbym nigdy nie wyszedł na swoje!
Po kilku tygodniach ścisnął mróz, jak kleszcze,
I pana węglarza mina gorsza jeszcze:
— Trudno, moje panie, skoro mróz tak srogi,
Węgiel, co go zwalcza, musi być dziś drogi!

Sposób.

— Mam sposób, ażeby kraj nasz wydobył się z ban-
kruptwa. Sposób pewny.
— Mów.
— Czytałem, że do zakładów państwowych, które od-
bijają pieniądze, sprowadzono amerykańskie maszyny do
drukowania. Otóż na tych maszynach należy zamiast ma-
rek drukować wyłącznie dolary i kwestja naszego dobro-
bytu państwowego rozwiązana.



W Warszawie w dniu 19 lutego 1923 r.

Kopernik. — Żeby to był w mojej mocy, tobym naj-
chętniej odniósł od tej bezmyślnej, zwarcholonej Warszawy
gdzieś na krańce świata, ażeby nie słyszeć więcej bez-
ustannych swarów piekielnych, które rozbijają na atomy mej
Ojczyznę.

O chlebie w Polsce, o jego podrożeńlu i jak go uczynić tańszym?



— Słuchaj— rzekł szwab do Drożyzny— za każdy fenig podrożenia na funcie chleba wsypię ci 1000 batów.



— A to zbił Polak tego bolszewika. W nagrodę zato podnoszę cenę do 500 marek.



— Oho— mówi Drożyzna.— Polak niemca z kraju wyrzucił! Podnoszę cenę funta z jednej marki na pięć.



— Właśnie z okazji wyborów — mówi Drożyzna — muszę podnieść cenę za funt do 1000 marek.



— A teraz — rzecze Drożyzna — Polak bierze się do pracy normalnej. Jest powód, ażeby funkcik kosztował 25 marek.



— Szukujesz na mnie miotłę i dlatego ustanowiłam od dzisiaj cenę 5000 marek za funkcik.



— Co? Bolszewik idzie na Warszawę? Byłabym głupia, nie podnosząc ceny za funt do 100 marek.



— A to jest, obywatelu, mówi ci „Mucha” bez wielkiego gadania, jedyny sposób, ażeby chleb od razu stanął.

Wywiad z dyplomata.

Bardzo modne są obecnie wywiady czyli „interview’y” z dyplomatai zagranicznymi.

Dyplomata mówi bardzo dużo, bardzo przyjemnie i bardzo otwarcie.

Np. niech to będzie dyplomata czeski, pan Podkadil. Pyta go dziennikarz co myśli o losie Jaworzyny, pan Podkadil odpowiada:

— Będąc od roku przedstawicielem dyplomatycznym Republiki Czesko-słowackiej w Polsce, muszę zaznaczyć, że nim jestem i wyciągam z tego odpowiednie konsekwencje. Republika Czesko-słowacka żywi bezsprzecznie ku Polsce uczucia takie, jakie zostały wywołane historycznym układem stosunków między naszymi dzielnicami narodami. Republika nasza jest zdecydowana utrzymać te stosunki za wszelką cenę, wszelako uwzględnić należy również prawa narodów do posiadania możliwości decydowania o rozstrzygnięciach zawikłań, uformowanych ustaleniem prowizorycznym układów...

Dziennikarz zapisuje wszystko skrupulatnie i udaje, że zrozumiał. Potem drukuje to w swojej gazecie i myśli złośliwie: „Niech się czytelnicy męczą!”

Za tydzień idzie do innego dyplomaty naprz. posła państwa Honolulu.

— Jakie są stosunki państwa Honolulu z Rosją?

— Państwo, które reprezentuję — odpowiada pan Honolulu — zawsze było zdania, że ustosunkowanie układów uformowanych odpo wiedniami postanowieniami, które mają doniosły wpływ na bieg życia narodów, zespolonych w jednolitości...

Ze też im się to nie znudzi!

Z teatrów warszawskich.

„Eros i Psyche”.

Stałem właśnie przy kasie teatru im. Bogusławskiego i kupowałem bilet na „Eros i Psyche” Żuławskiego, gdy mnie ktoś niepospolicie uderzył po ramieniu.

— Panie kochany, bądź łaskaw i kup dwa bilety! — Obejrzałem się; tuż za mną stał jegomość przyjemnie uśmiechnięty. Twarz wydawała mi się znajoma.

Oczywiście! tylko ktoś znajomy mógł zwrócić się w ten poufaly sposób. Ze też sobie jednak nie przypominam, kto to być może?...

Naturalnie kupiłem dwa bilety. Jegomość skwapliwie przyjął ten, który mu podałem i uściskał mnie z wdzięcznością. Szliśmy razem ku szatniom, wymieniając jakieś zdawkowe słowa. Jegomość stawał się jakiś nieswój, zmieszany jakby. W pewnej chwili przystanął, zarumienił się, chwycił mnie za guzik u palta i rzekł z ogromnym zakłopotaniem:

— Wybacz mi, drogi przyjacielu, ale nie będę mógł zwrócić ci za bilet... *my* nie posiadamy *tam* pieniędzy.

Słowo *my*, i *tam* wymówił tak dziwnym głosem, że dreszcz mnie przebiegł wzdłuż pleców... czyżby?... zacząłem mu się badawczo przyglądać... Ta broda, głowa na pierś pochylona, włosów przydługich odrzucenia... Nie! nie! nie może to być! wszak duchy nie pojawiają się wśród nas o godzinie siódmej z minutami!

Jegomość ów przeczuł widać co się działo we mnie, bo rzekł spokojnie:

— Dziwi cię, przyjacielu, iż ukazałem się tutaj nie w duchów godzinie? Cóż chcesz, teatr o północy nieczynny, a ja chciałem koniecznie zobaczyć swój dramat.

Teraz wiedziałem już napewno, że dziwny traf zetknął mnie ze ś. p. Żuławskim.

Z kolei ja się zmieszałem, ale takt i uprzejmość mego towarzysza rychło mnie ośmieliły i już w najlepsze gawędząc zajęliśmy miejsca.

Obras pierwszy — Na scenie dekoracje i deklamacje, przywodzące na myśl teatry amatorów w Kozichłogach i Pipidówce. Na widowni skrzywienie krzeseł, chrupanie cukierków i nie cukierków, wycieranie nosów, szuranie nogami. Widownia robi wrażenie owczarni, która nagle dostała nosaczyny.

Obras drugi — Tu i tam bardzo podobnie.

„*trzeci* — *czwarty* — *piąty* —

„*szósty* — mniej więcej tak samo.

Ocieram pot z czoła i boję się patrzeć na towarzysza. Kurtyna spada. Publiczność urządza wyścigi i dusi się przy wyjściu, by za chwilę wlec się noga za nogą przez brudne ulice w stronę brudnych domów.

My dwaj wychodzimy ostatni. Zapalamy papierosa.

— No i jakże... jakże się panu podobało? — bąkam. Żuławski bardzo blade (może odwykił *tam* od papierosów?) puszcza kłęb dymu i milczy.

— Cóż... wiadomo... usterki pewne są, mówię ja, ale Solska, panie, Solska... wielka artystka...

Żuławski macha ręką..

— Wiesz co przyjacielu? gdybym był nie poetą, ale humorystą albo filozofem, to wiesz cobym powiedział?

— ... „Była jedna co mnie zrozumiała, ala i ta mnie nie zrozumiała — podchwyciłem.

— Zgadłeś, przyjacielu.

Szliśmy długo, nic nie mówiąc do siebie. Czulem się w obowiązku przerwać milczenie:

— Zaręczam panu — szepnąłem — że są wśród nas ludzie, którzy „Erosa i Psyche” nigdy w teatrze oglądać nie będą...

— Tak sądzisz, przyjacielu? — uśmiechnął się poeta.

— Jestem tego pewien.

— Dziękuję ci za dobre słowo — i Żuławski znikł nagle z mych oczu.

„Lekkoduch”.

Achl coraz częściej tęsknisz człeczce, wśród tego chłodu, nędzy, brudu do jakiejś rzeczy niezwykłej i niecodziennej, jak do cudu.

A kiedy wielki cud nie schodzi w zezwierzęcały, nędzny ludek, radbyś na klęczkach kogoś błagał o maluteńki chociaż cudek.

Błagałbyś kogo, prosił, żebrał w ogromnie śmiesznej swej rozpacz, by na tym świecie choć dzień jeden było inaczej coś, inaczej.

I choćbyś wiedział, że to żart jest, że to dziecinna jest zabawa, wierzyłbyś mocno, że w tej rzeczy rzecz się doniosła jakaś stawa.

Ja wiem o jednej takiej rzeczy... tą wieścią z tobą się podzielę, a ty ją ujrzyś kiedy zechcesz: jutro, pojutrze, czy w niedzielę.

Więc, żeś jest człek co szuka cudu, choćby ten mały był jak mucha, idź do Reduty i kup bilet, aby zobaczyć „Lekkoducha”.

Ze wieczór będzie nie stracony, że ci się wnet polepszy mina, za to ci ręczę na afiszu Osterwa oraz Osterwina.



Jedyna rada.

Z powodu ustawicznego podrożania tramwajów miejskich w Warszawie, dać się naelektryzować, stworzyć kontakt z siecią miejską i pędzić w ten sposób bezpłatnie po szynach, naturalnie, jako *Z e r o*, bo czyż obywatel jest ozemś innem wobec Rady Miejskiej?

Czyż nie racja?

— Nie przypuszczałem, ażeby Polska tak ogromnie kochała Niemcy.

— Polska kocha Niemcy? Gdzie ty to widzisz?

— A marka polska, która przez sympatię dla niemieckiej, razem z nią na dół leci?

Pokój.

Stryj Wersalski jest urodzonym pedagogiem.

Pod jego okiem wszystkie dzieci łagodne są jak banki, nawet te urwisy, wnuczki starej babci Europy.

I teraz oto stryj Wersalski stoi pośrodku dzieciennego pokoju, wśród rozwrzeszczzonej gromady. Minę ma skupioną, oczy zamknięte, wprawne rękami czyni hipnotyzujące pasy magnetyczne. Potem mówi ogromnie uroczyście i pełnym wiary głosem:

— Dzieci, tu w tym pokoju jest już spokój.

Potem wychodzi, drzwi za sobą zamyka na klucz i mówi do drzemającej bał ci Europy.

— Kochana babuniu, ręczę ci, że w dzieciennym pokoju jest spokój, drzem sobie spokojnie.

I wychodzi zadowolony z siebie stryjcio Wersalski i babunia drzemie.

Bo w dzieciennym pokoju jest spokój! Ogromny spokój. Litwińcio spokojnie drze za łeb maleńką Kłajpedzie, Turcio spokojnie kuksa Grecia, Marjanna spokojnie odbiera rurę Michałkowi, Irlańcia spokojnie pokazuje figę John Bullowi, a reszta dzieciak niespokojnie czeka na swą kolej.

Ciekawe bardzo, jak będzie wyglądał ten dziecienny pokój bez pokoju?



Korzysta z okazji.

Anglik — Ty, Niemcze, zajmuj ich swoją osobą, a ja tymczasem rozbiję skrzynkę.



W Alejach.

Andrus — Ołaboga! Takusieńki pies, jak mój Milek.
Dama — A dlaczego z nim nie chodzisz?
— Bo mięso tak u łajdaków rzeźników podrożało, żeśmy go wczoraj zjedli.

Pamiętnik cylindra.

Urodziłem się w Paryżu i przyjechałem do Warszawy na głowie eleganta, których to miasto posiadało wtedy najmniej pięćdziesiąt tysięcy.

W czasach przedwojennych, szanujący się elegant warszawski nie mógł się nigdzie pokazać bez cylindra na głowie. Nietylko elegant. Nawet pan Tomasz z ulicy Gołębiej, jeżeli chciał godnie piastować swój tytuł „pana dobrodzieja“, kładł w dni niedzielne i wogóle uroczyste, na łysinę cylinder, choćby nawet pochodzący ze słynnej fabryki „Mojsze Wielbłąd rue Freta“ i przypiskiem: „Made in Nalewki“.

W trakcie wojny, wobec bomb i szrapneli niemieckich, nadsyłanych z uprzejmych aeroplanów, liczba ele-

gantów zaczęła się znacznie i pośpiesznie przerzedzać. Ten i ów zamykał swój cylinder w pudełku i zamiast niego, wdziawał andrusowską maciejówkę. Publicystyka zwala to powrotem do tradycji, lub zgola czynem patryjotycznym. Co do mnie osobiście, myślę, że w pewnych wypadkach, było to również czynem chamo-watości.

Albowiem Warszawa, ta do niedawna dysząca szykiem i zgiełkiem wielkomięjskim, Warszawa, maluczko i wolniusienko zaczęła schodzić na pieski. W pierwszym roku okupacji niemieckiej stała się podobną do miasta Siedlec, w drugim do powiatowego Pińczowa, w trzecim do osady Stanisławów w ziemi mińskiej mazowieckiej, gdzie największą osobliwością jest zepsuty wiatrak.

A potem Niemcy zostali rozbrogieni i nadeszła epoka demokracji tak dalece, iż z pod rynien spadały (i spadają, *przyp. aut.*) tynki, z rynien dziurawych spływała (i spływa, *przyp. aut.*) na chodniki woda, dozorczy na śmierć zapomnieli zamiatać ulice, w dni biotne byle szofer pryska rozcieńczonym nawozem nietylko na głowy ale i na sumienia. Przyszły takie czasy, iż na widok dziwaka w cylindrze, łobuziaki bez względu na przynależność partyjną, pędzą zadyszani za przechodniem, wrzeszcząc w niebogłosy dla wiadomości łobuziaków z dzielnic okolicznych:

— Ten Facet ma celender!

W Warszawie, która zajęła godność stolicy europejskiej, jest miejsce na wszystko: na drożyznę, przejechanie śmiertelne samochodem, na latarnie gazowe, które nie płoną, na dziury w bruku, zawalanie się domów, na kurz, błoto i dziurawe buty—tylko nie na cylinder.

Z wyjątkiem ambasadorów zagranicznych, oraz członków cechów rzemieślniczych, w dni uroczystych występów, nikt zgola cylindrów nie nosi. Wyszliśmy z mody; zjadł nas *the War style*, styl wojenny.

Dzisiejszy wytwórniś w butach z cholewami, bekieszny na wacie i w czapce, przypomina na bruku wielkomięjskim raczej ekonomę, przybyłego z Kociej Wólki dla wyszukania nowej kondycji.

Patrząc na ten nowy objaw dekadencji, znakomity poeta, zrazem znawca geografii politycznej (z „Kalendarza Pogotowia“) powiedziałby:

Spytał król sjamski Praparaminder:

— Gdzież się w Warszawie podział cylinder?

Tak jest. Był i niema go. Spadł z etatu. Warszawa dziś dlań jest za mała. Jeżeli tak dalej pójdzie, w centrum stolicy ujrzymy myśliwych, polujących na losie. *Nec locus ubi cylinder fuit.* Handełesy wykupiły go na tricorny dla karawaniarzy.

Szkoda, że nie odwrotnie.

(Rozmowa na galerji w Sejmie).

— Mężu, a to kto?

— To znany poseł-dziennikarz. Odnacza się tem, iż od lat 15 czerni wasy, a od lat 2 Polskę.